Nr. 51. Rok I.



NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Cena prenumeraty: kwartalnie w miejscu 15 sbr., na prowincji 18 sbr. 9 fen., w Krakowie i Lwowie 1 złtr. 20 c., w Galicji i w innych krajach austrjackich 1 złr. 40 c.

Poznań, 16 Grudnia 1871.

Redakcja przy ulicy Fryderykowskiéj Nr. 27.
Ajencje:
Lwów: Milikowski, Gubrynowicz i Schmidt
Kraków: Friedlein, Józef Czech.

KAJETAN WĘGIERSKI.

Studjum literackie

Walerego Przyborowskiego.

(Dokończenie.)

Równie ciekawy jest list do jenerała Washingtona: „Zrobiłem kilka tysięcy mil, pisze Węgierski, aby widzieć i poznać założycieli wolności amerykańskiéj — nie w celu aby szukać chluby z widzenia ich, lecz aby nauczyć się od nich, jakim sposobem można zachować ludowi najświętsze jego prawa. Jestem synem nieszczęśliwego, niegdyś wolnego i potężnego narodu, dziś w upadku i bezrządzie. Większéj nie pragnąłbym pociechy, jak rozmawiając z panem, wyobrażać sobie, że kiedyś wstępując w jego ślady, ojczyznie mojéj stanę się użytecznym!...“

Ale najciekawszy i najlepszy dowód zmężnienia ducha Węgierskiego, daje list pisany do tegoż pana Dickinson. „Widać (w tym liście) już zakrój na niepospolitego publicystę, mówi Siemieński, i żal serce ściska, że zdobyczy umysłowych chorobami zwątlone ciało nie umiało donieść aż do kraju.“ Oto ten list:

„......Lecz teraz, kiedyście spokojni i panami we własnym domu, cóż poczniecie drodzy panowie? Jakaż będzie polityka wasza na dal? Jakie postępowanie wewnątrz? Do jakiego punktu rozwiną się wzajemne zazdrości? Kto je uśmierzy? Ażaliż przeniesiecie dobro powszechne kontynentu nad szczęśliwość własnego kraju? Czyliż bogaty kolon georgijski, drogo swój ryż i indygo sprzedający, będzie miał wzgląd na to, że mieszkaniec Hampshire nie zbywa swego budulcu i potażu? Ów duch patrjotyczny, który was utrzymywał w ciągu rewolucji, zdołaż się ostać obok pomyślności handlu, obok zbytku jaki zeń się rozwinie i obok podbechtań nieprzyjaciół usiłujących waszą jedność rozerwać? Wasz kongres przenoszący się z miejsca na miejsce będzieli mógł natchnąć cześć przynależną reprezentantom wszechwładztwa, cześć tak niezbędną w rzeczypospolitéj? zechcąż obywatele znani z talentu i majątku opuszczać swoje domy i gospodarstwa, narażać wpływy i kredyt swój, aby włóczyć się za sejmem i widzieć figurujące swe nazwiska po gazetach? Czy podobna obejść się wam bez floty? — a mając flotę któż będzie ją płacił? nie mając, kto będzie zasłaniał handel na odległych morzach?... Czynność waszego narodu jest wielką, wszędzie gra młodość i zdrowie silne — lecz któż wam zaręczy, że państwa które was protegowały nie pozazdroszczą z czasem téj pomyślności i nie zechcą podkopać bytu waszego? Póki lew młody głaszczą go, lecz niech dojdzie do sił, znajdzie się nań kaganiec i klatka...

„Podług mego zdania, żaden kraj nie może się stawić w równi ze Stanami Zjednoczonemi, mianowicie pod względem pomyślności — nigdzie bowiem dary fortuny nie są tak równo rozdzielone. Zwiedzając te krainy,

uczę się porównywać życie fermierów z życiem dawnych patrjarchów. Tutaj napotykam wiek złoty, tak chwalony w starożytności. Wprawdzie nie płyną tu strumienie mlekiem i miodem, za to rzeki są szerokie i głębokie, wprawdzie pagórki nie skaczą jak furkadełka (?), za to rodzą obficie i lada rolnik europejski przybywszy tu, nietylko znajdzie sposób zmienić niewolę swą na wolność ale i niezbędną potrzebę na życie wygodne. Dość mu dwa lata tu przebyć a wyobrażenia jego rozwiną się, stanie się człowiekiem a nawet obywatelem... Widziałem tu poddanych z dóbr biskupich rozumujących wolno w rzeczach religji i rozprawiających o polityce rodowitych szampańczyków. Otóż wyobrażenia jakie powziąłem panie o twoim kraju. Jeżelibyś chciał objaśnić mię w rzeczach wątpliwych dla mnie, dodasz tylko nowy względ do łask jakiemiś mię zawsze zaszczycał. Nie spuszczając nigdy ojczyzny mojéj z widoku, pragnę uczyć się zawsze i wszędy, nie tyle dla własnéj przyjemności, ile abym potrafił kiedyś wywiązać się godnie z obowiązków obywatela... Gdy pomyślę jak z trzymiljonową ludnością, bez grosza w skarbie, zrzuciliście jarzmo takiéj potęgi jak angielska — a jak znowu Polska dała sobie porwać pięć miljonów dusz i ogromny kawał ziemi — wyznaję że od rozumu odchodzę i nie wiem czemu przypisać tak przeciwne sobie skutki. Ależ, niech to między nami zostanie, starożytni Sarmaci dzisiaj są tylko... Polakami! Jeżeli kraj mój nie wybrnie z téj toni, jeżeli bogowie nie ulitują się nad nim, powiem współziomkom moim: idźcie za morze i tam zapewnijcie dzieciom waszym wolność i własność! Jeżeli mnie nie usłuchają, powiem krewnym moim: idźcie za morze! jeżeli krewni odmówią, pójdę sam i umrę wolny wraz z tobą. Certe ego libertatem, quae mihi a parente meo tradita est, experiar...“ [1]).

Jakaż ogromna różnica, jaka przepaść pojęć i wyobrażeń dzieli ten list od owego wiersza do Bielińskiego. Widno ta atmosfera amerykańska oddziaływająca jak się wyraża „na lada rolnika europejskiego“ oddziałała dobroczynnie także na niego. Duch jego mężnieje, rozwielmożnia się, marzy o wieńcu obywatelskim... i to jest ten sam człowiek, który przed chwilą chciał gnić w egoistycznym pokoju i rozpuście. Nie mógł się jednak całkiem jeszcze otrząsnąć z dawnych wyobrażeń — jeszcze to jest kosmopolita, gardzący swoim krajem, człowiek wreszcie, jak słusznie uważa Siemieński, nie umiejący naznaczyć granicy między wolnością a niepodległością...

Podróż do Martyniki i Hajti jest sielanką a raczéj romansem w życiu poety. Są to listy pisane do Paryża, do jakiéjś Julji. „Węgierski, mówi Siemieński, daje tutaj więcéj obraz wewnętrznych uczuć, spowiedzi miłosnych, obaw o utratę ubóstwionego przedmiotu (na którego stateczność zdaje się nie wiele liczył) niż swoich przygód...“ Kochał ją widocznie bardzo — marząc bowiem o owém dziele, do którego materjały z takim mozołem zbierał, woła rozkochany poeta: „Ty Juljo, jesteś niezbędną do upięknienia, do ugruntowania téj budowy... Nie ma bowiem istoty, którąby mogła własne szczęście czerpać z siebie saméj...“ Albo znów w inném miejscu roztęskniony kochanek tak pisze:

„......Miłość moja wyrównywa méj niecierpliwości, i nigdy nie martwię się bardziéj, jak gdy pomyślę, jaki czas i jaka przestrzeń nas dzieli — za to w obec nagrody, która mię czeka, czémże jest długość chwil, czém cierpienia moje?...“ Nie wiadomo jak się skończył ten romans i kto była ta Julja. Siemiński przypuszcza że była aktorką, opierając się na liście jakiéjś Aleksandryny, która przedtém panowała w sercu poety. Ta widno silnie go kochała, bo pyta smutna jakáś:

„Czyż się nigdy nie dowiem, jakie uczucie kierowało tobą, gdyś mnie odepchnął? Czyliż ta nowa kochanka domagała się od ciebie téj ofiary? Czyliż dla podobania się jéj musiałeś poświęcić tkliwą istotę, powierzającą ci się bez obrony? Czyliż to poświęcenie się zapłaciła ci choćby dwakroć silniejszą miłością? — Ale nie! ona nie kazałaby ci być tak nieludzkim, mnie ją wystawiono jako osobę czułą, słodką, uczciwą w swym stanie... kto wié możeby więcéj nad moim losem okazała litości, niż ty pokazujesz!...“ [1]).

Po powrocie do Europy bawił w Londynie, gdzie żył w przyjaźni z księciem Wallji (późniéj królem Jerzym IV) — grał szczęśliwie w karty — wygrał raz 5000 funtów szterlingów. Przyjaźń z księciem rozerwała się, w skutek tego, jak mówi Śniadecki w swoich zapiskach, że napisał na księcia satyrę nader dowcipną po angielsku, bo znał ten język doskonale. Pokazuje się, że natura wilka ciągnęła zawsze do lasu.

W roku 1786 już widzimy go na stałym lądzie. Z Akwisgranu tak pisze o sobie: „Prowadzę tu życie umiarkowane i regularne, a jednak to nie zasłania mnie od nowych symptomów zastraszających i od chorób skomplikowanych, nad któremi doktorzy rozum tracą... To mię zabija na umyśle i psuje najlepiéj ułożone plany...“

Ale najsmutniejsze i pełne tragiczności są następne słowa pamiętnika pisane w Awinionie pod dniem 17 i 31 grudnia, gdzie pobiegł pod lazurowe niebo szukać ocalenia przed chorobą:

„Te dwa dni rozstrzygły wszystko. Nie umiałem się szanować. Plucie krwią i zapalenie piersi odjęły mi wszelką nadzieję powrotu do zdrowia — żołądek już nie trawi, widocznie opadam na siłach i niszczeję — cała machina zaatakowana z gruntu. Muszę więc umierać — a umierać z własnéj winy, nie budząc w nikim łzy żalu, będąc zapomnianym od najbliższych znajomych, nie oddawszy najmniejszéj usługi krajowi, ludzkości, krewnym — nieuporządkowawszy nawet interesów moich z odpowiednią korzyścią dla spadkobierców. Przywykły od dzieciństwa iść za popędem fantazji i kaprysu, przeżyłem lat 30 bez żadnego systematu, bez planu, rzucony na wolę namiętności, które przecież nie były tak gwałtowne. Biada człowiekowi, który nie umie systematycznie pojmować szczęścia i odpowiednie zachować prowadzenie się — kto się zdaje na łaskę bałwanów, w końcu musi utonąć... Choroba ta osłabiła mi władze umysłowe — całkiem straciłem pamięć — czytam bez korzyści męcząc ciało i oczy a niezdobywając pokarmu dla ducha. Obcemi języki mówię z większą trudnością niż dawniéj — do żadnéj pracy wziąć się nie mogę...“ [2]).

Wszystkie więc jego nadzieje, marzenia o napisaniu jakiegoś dzieła, o użytku dla współrodaków pełzną na niczém w obec téj żelaznéj konsekwencji faktów przeszłego życia. Węgierski to cały dramat upadłéj gwiazdy i czującéj swój upadek, widzącéj zbliżający się koniec, który nie pozwoli wydostać się z cieniów...

Dnia 2 stycznia 1787 r. wyjechał z Awinionu do Marsylji, gdzie umarł 11 kwietnia, ofiara owego smutnego losu nad jakim dumał patrząc w Ameryce na grobowiec Clarkego. Zostawił dość znaczny majątek ulokowany na banku angielskim, który zapisał synowcowi swojemu, pod warunkiem, że będzie złożony gdzieś cały kapitał na procent składany. Chodziło mu o to by ród jego nie zaznał biedy „która upadla umysł, cieśni rozsądek.“ Resztę zapisał matce [3]). Śniadecki bawiąc w Londynie przełożył ten testament na język angielski

[1]) Portrety literackie — 174.

[1]) Idem — 163.
[2]) Idem — 179.
[3]) Czytaj testament w Portretach literackich — 180.

— powiada w swych zapiskach, że miał rękopisy Węgierskiego w siedmiu grubych tomach in 4to, „ale nic w nich polskiego nie znalazł...“

Tak więc umarł w krainie trubadurów, polski poeta rozpusty... i grobowiec jego opluskują fale prowanckiego morza. Życie jakie pędził w młodości zemściło się nad nim srodze wówczas, kiedy myślał o poprawie. Poprawa ta została tylko myślą — a że ludzi sądzi się po faktach a nie po chęciach, więc Węgierski jeśli już ma zajmować jakie stanowisko w naszéj literaturze, to chyba bardzo nizkie. Wreszcie w tym drugim perjodzie żywota, oddala się on coraz bardziéj od kraju pojęciami swemi — jeszcze lat parę a byłby mu całkiem obcy. Umarł młodo, bo w 32 roku życia, młodzieniec wielkiéj zdolności, zabity żelazną dłonią tego ducha czasu, co żył jeszcze do 1789 roku[1]).

[1]) W Marsylji w jednym z kościołów Węgierski ma nagrobek, którego napis przed kilkunastu laty przedrukowało któreś z naszych pism — wiedziałem o tém, ale przy powszechnym braku wskazówek u nas, pomimo mozolnych szperań, które mi dużo czasu zajęły, wyszukać go nie mogłem.

NEMEZIS

z Dickensa.

(Dalszy ciąg.)

Pan Garston czuł dla matki niemal nienawiść i obrzydzenie, — jéj zdrowie i władze umysłu słabły z dniem każdym. Najmocniéj byłem przekonany, że on był tego powodem, to też nienawidziłem go sercem. Druga pani Garston! to okropne! I Westwood-House miał być areną przeznaczoną na preliminarja podobnego ślubu! Annie należała się równa część mojéj nienawiści.

Pewnego dnia pan Garston udał się do miasta o kilka mil odległego, gdzie miał być obecnym sprzedaży pozostałości po zmarłym krótko przedtém zbieraczu starożytnych rzeźb i właścicielu pięknéj galerji, która zawierała nawet kilka sławnych dzieł sztuki tak z dziedziny malarstwa, jak rzeźby. Wyjazd ten ułożonym był już od kilku tygodni a przecież pan Garston niechętnie zabierał się do niego. Matka przymuszała go, znając jego zamiłowanie do sztuki. Co było najciekawszém, to, że im więcéj ona nagliła go do wyjazdu, tém więcéj wynajdywał powodów do pozostania, wreszcie wszystkie te przyczyny okazały się błahemi i ojczym ustąpił.

Po trzygodzinnéj umysłowéj pracy chcąc nieco wypocząć udałem się na przechadzkę, zaledwie jednak postąpiłem kilka kroków kiedy w jedném z okien galerji spostrzegłem Annę. Płakała gorzko i mimowolnie poczułem dla niéj rodzaj współczucia; już chciałem ją zapytać o przyczynę smutku kiedy nagle podniosła głowę a spostrzegłszy mnie porwała się szybko z miejca i zniknęła w głębi pokoju. Przez przeciąg całego dnia tego nie widziałem matki, która wymówiła się bólem głowy od zejścia do sali jadalnéj na obiad; wiadomości téj udzieliła mi inna służąca a nie Anna, która prawdopodobnie zajętą była doglądaniem pani. Ku wieczorowi wreszcie zeszła matka; i ona również miała zapłakane oczy i była w stanie takiego nerwowego rozdrażnienia, w jakiém ją nigdy dotąd nie widziałem. Ruchy jéj były gorączkowe — uląkłem się ich — tyle lat już upłynęło od owego czasu gdy była zupełnie zdrową, a przecież wtedy nawet poruszenia jéj nigdy nie były tak żywemi i pospiesznemi. Prosiłem ją aby usiadła.

— „Jak dziś zimno“ zawołała „wiatr jest tak silny, że doprawdy zdołałby rozszarpać człowieka.“

— „Droga matko“ rzekłem „to skutek twojéj choroby, dzisiejszy wieczór jest tak piękny, tak spokojny, pozwól że zadzwonię na Annę, aby ci szal przyniosła.“

— „Anna? Anna odeszła!“

— „Odeszła! Gdzie?“

— „Mniejsza o to. Która teraz godzina?“

— „Za chwilę wybije ósma.“

— „Filip — pan Garston, chciałam powiedzieć, powinienby już dawno być w domu.“

I zaczęła płakać gorzko.

Starałem się ją pocieszać, ale długo było to daremne.

— „Tak straszny ból czuję w sercu, jakiego nigdy dotąd nie czułam;“ odparła po chwili.

— „To także wynik choroby, droga matko.“

— „Może być“, szepnęła.

I zamyśliła się tak głęboko, że nie zdawała się ani rozumieć ani słyszeć nawet tego, co do niéj mówiłem. Od czasu do czasu różne wyrazy bez związku padały z ust jéj a z nich łatwo zestawić było można, że myślą przebiega przeszłość. Nagle straszny krzyk wyrwał się z jéj piersi.

— „Co to jest? Co ci moja matko?“

— „Widziałam postać, okropną postać. Nie widziałżeś jasności w tém oknie? Nie możemy pozostać tu sami. Zwołaj służących! Słyszysz?!“

— „Nic nie słyszę, matko.“

Jéj przestrach choć niczém nie usprawiedliwiony, mimowolnie i mnie zaczął się udzielać.

— „Cicho! tak, tak! To kroki mego męża. Chwała ci Boże!“

Nie myliła się, drzwi się otwarły i Garston wszedł do pokoju.

II.

Garston wbiegł szybko, rozejrzał się, potém pospiesznie zamknął drzwi, jakby z obawy aby go kto nie ścigał i nie wiem czy przypadkiem czy też umyślnie zasunął zasuwkę i klucz przekręcił w zamku. Postąpił kilką kroków naprzód i stanął. W pokoju panował zmrok zupełny, w tém półświetle jednak dostrzegłem białe jego ręce skrzyżowane na piersiach. Wreszcie rzucił się na krzesło. Straszna jakaś cisza zapanowała — wydała mi się nieskończenie długą choć zaledwie dwie minuty upłynęły nim ją przerwałem.

— „I tak pan powróciłeś ze sprzedaży?“ zauważyłem.

Nic mi nie odpowiedział; — zmięszałem się.

— „Czy pan nie nabyłeś niczego?“

Żadnéj odpowiedzi — choć jakieś niewyraźne brzmienie wyszło z ust jego. Zdziwiony i przestraszony trochę powstałem i zadzwoniłem aby wniesiono światło, poczém powróciłem na miejsce i przysuwając krzesło do stołu usiadłem obok Garstona. Lekko dotknąłem jego ramienia, — chwycił konwulsyjnie moją rękę i trzymał ją w żelaznym uścisku; po chwili jednak musiałem się uwolnić — trzeba było drzwi zamknięte otworzyć służącemu. Przeczuwając że coś niezwykłego zajść musiało choć niczego nie mogąc odgadnąć, we drzwiach

odebrałem świece z rąk lokaja, jego samego oddalając. Światło padło na twarz Garstona — matka wydała powtórny okrzyk przestrachu:

— „Ta postać!... w oknie! On jest chory; Arturze ratuj go!“

Niezbyt pospiesznie wykonałem zlecenie matki; rysy téj twarzy mogłyby wstrzymać najgorliwszą chęć niesienia pomocy; nie były one zmienione ale błędne, osłupiałe spojrzenie zdawało się mówić, że nigdy już objawy wszelkich uczuć i wrażeń ludzkich: radości, boleści, gniewu, współczucia nie odbiją się na téj twarzy.

— „Na Boga co tu zaszło?!“ zawowałem mimowolnie. „Co mu jest?“

— „Chory... bardzo chory — wina — trochę wina“ — szeptał przerywanym głosem.

Gdy wlałem mu już dwie szklanki wina w usta, przypomniałem sobie, że nigdy wina nie pijał.

Pomogło mu ono jednak widocznie — odzyskał świadomość położenia; zatarł a raczéj zacisnął ręce i starał się na twarz sprowadzić uśmiech.

— „Szalonym!“ zawołał — „przestraszyłem Arturze matkę twoją bez powodu, bez żadnego powodu, upewniam cię.“

— „Jednakże musi być przyczyna tylu wzruszeń“ odparła matka z udanym spokojem, „nie byłbyś nas przecież wystraszył tak bez powodu, z nieuwagi.“

— „To już przeszło!“ odparł, „żal mi tylko, że stałem się powodem waszéj obawy. — Doskonałe wino, — zresztą być bardzo może, że nieprzywykły do używania, przeceniam jego dobroć.“

Odtąd był już swobodnym, opowiadał z niezwykłą sobie wymową i szybkością o licytacji i zaszłych tamże zdarzeniach, tak że matka nie mogła wyjść z podziwu. Szepnęła, abym usunął butelkę; gdy jednak chciałem spełnić jéj rozkaz, Garston przytrzymał mi rękę i nie pozwolił zabrać.

— „Przebacz mi pan“, odrzekłem z uśmiechem — „chciałem być posłusznym matce, która widocznie obawia się, czy pochwały oddawane przed chwilą dobroci wina nie są wynikiem porównania z jedną lub dwoma butelkami wypitemi poprzednio. Przyznaj panie Garston, że dałeś się wciągnąć w wesołe towarzystwo. Ztąd twe spóźnienie, nagłe zjawienie i postępowanie dziwaczne; wszystko to teraz jasne nam już zupełnie. Gdybym był zaraz zwrócił uwagę na nieład pańskiego krawatu, nie byłbym potrzebował innego dowodu do poparcia mego twierdzenia.“

Spiesznie poprawił tę część ubrania, a ręce mu drżały nerwowo. Nim jednak ukończył poprawiać pobladł zupełnie.

— „Znalazłeś mnie pan w niezwykłém usposobieniu“ odparł z lekceważącém i pogardliwém spojrzeniem.

— „Nie idzie za tém abym bardzo zawinił. Wiesz, jak jestem wrażliwy, każde najmniejsze zajście mnie denerwuje. Miałem dość żywą dysputę z jednym z obecnych na licytacji sąsiadów, niemniéj jak ja porywczym. Obadwaj mieliśmy słuszność a z utarczki jaka miała między nami miejsce, ja najgorzéj wyszedłem.“

— „Z utarczki!“ zawołała matka. „Czyś czasem nie raniony?“

— „Trochę poturbowany.“

— „Spodziewam się, że nie pociągnie to za sobą dalszych następstw?“

— „Żadnych, zupełnie. Obustronnie daliśmy sobie wszelkie potrzebne wyjaśnienia i rozstaliśmy się jak na dobrych przyjaciół przystało.“

Matka zarzuciła go gradem pytań; a w głosie jéj niepodobieństwem było nie dostrzedz, jak bardzo kochała tego człowieka. Niemniéj czuć było, że jakieś niejasne podejrzenie, jakaś myśl dręcząca leżała na dnie jéj duszy, nie śmiała jednak z nią się zdradzić; — może pragnęła aby on sam odgadł i zadał kłam jéj posądzeniom. Garston jednak zdawał się nie zwracać na to uwagi. Panował całą siłą duszy nad swemi uczuciami i na każde zapytanie odpowiadał tak oględnie jakby go od mówienia powstrzymywała jaka przysięga. — Co do mnie, zdawało mi się, że zrozumiałem jak rzeczy stały. Anna odeszła; byłaż ona odprawioną czy odeszła dobrowolnie? — w obu razach Garston był przyczyną jéj odjazdu. Niezawodnie przypuszczał, że coś odkrytém zostało w czasie jego nieobecności i obawiał się obecnie sceny ze strony matki, w któréj Anna jakkolwiek już nieobecna, odegrałaby główną rolę. Chciałem powstać i odejść, wzrok wyzywający Garstona powstrzymał mnie swą niemą prośbą i przykuł na nowo do krzesła na jakie pół godziny; to mnie tém więcéj utwierdziło w powziętém z góry mniemaniu.

Matka pociągnęła taśmę dzwonka. „Ja przynajmniéj muszę was opuścić; zwykła godzina spoczynku dawno już przeszła. Powiedz Marcie“ rzekła do wchodzącego sługi „niech czeka na mnie w moim pokoju, odtąd ona będzie w moich usługach.“

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KWIATY MISTYCZNE.

W noc świętojańską kwitnie w niedostępnéj leśni
Cudowny kwiat paproci; taka wiara ludu.
Błogo temu, kto świadkiem był takiego cudu,
Mając kwiat ten, posiędzie, o czém ledwie prześni.

Otrząśnie on się z cierpień światowych i brudu,
Odmłodnieje — już wolny od żywota pleśni;
Co innym ludziom blado objawia się w pieśni
On ujrzy w pełném życiu, bez troski i trudu...

I was, dusze siostrzane, jako kwiat paproci
Mistyczna kryje szata przed ludzką źrenicą
Nim świętojański jakiś czar wasz byt rozzłoci —

Lecz gdy was już czarowne te blaski oświecą,
I gdy się odpoznacie wśród dusz kroci — kroci...
Jesteście sobie wzajem niebieską skarbnicą.

B. Komorowski.

L. OSIŃSKIEGO

ODA O KOPERNIKU.

Skreślił

X. Ignacy Polkowski.

We wszystkich zbiorach i zbiorkach mieniących się Historją literatury polskiéj, zamieszczona poniżéj Oda Osińskiego na cześć Kopernika cytowaną jest jako najpiękniejszy utwór tego krasomówcy polskiego. — I rzeczywiście Oda o któréj mówimy, ze wszystkich poezji Osińskiego jest najwytworniejszym wierszem — tak mało tu znanym, tak mało przez kogo dobrze czytanym; a gdy i to jeszcze dodamy, że mało znaleźlibyśmy takich, którzy wiedzą o powodach, jakie natchnęły Osińskiego do napisania téj ody duchem poetycznym prawdziwie natchnionéj; gdy publiczność cała polska interesuje się a przynajmniéj interesować powinna Kopernikiem, za właściwe uważamy, i ten wiersz i krótką o nim zamieścić historję.

Kiedy uczony Jan Śniadecki w roku 1802 napisał swoją klasyczną rozprawę, w któréj oddając hołd winny pochwały Mikołajowi Kopernikowi, pokazał jak wiele winne mu były nauki matematyczne mianowicie astronomja w wieku w którym żył, z których poprzedników jak wiele i jakim sposobem korzystał, i jak wiele winne mu są w czasie teraźniejszym. Kiedy sława rozprawy téj rozeszła się nietylko po kraju całym, ale w tłumaczeniach na wiele europejskich języków a nawet na język perski, rozeszła się po Europie całéj. Kiedy potém uczony profesor wypracował geografję matematyczną i fizyczną, która wyszła z druku 1803 roku i potem razy jeszcze kilka; cała publiczność polska i uczeni jego tylko jednego uznawali za najzdolniejszego do napisania dzieła o astronomji, którego dotąd w polskim nie było języku. Śniadecki został rektorem uniwersytetu wileńskiego — na pożądane dzieło przez siebie i przez publiczność dla licznych prac i zajęć zdobyć się nie mógł — rozprawa Kopernika rozpowszechniała się po Europie w tłomaczeniu francuzkiém. Niemcy cichutko z początku a potém głośno odzywali się, że Kopernik należy do szczepu Germańskiego, do narodowości niemieckiéj — godnéj pamięci Staszyc, jak tylko Toruń wrócił znowu pod polskie panowanie, za Księstwa Warszawskiego, czynnie się zajął projektem i składkami na wystawienie pomnika Kopernikowi w Toruniu.

Te więc wszystkie okoliczności gdy się razem że tak powiem złożyły, zachęciły Ludwika Osińskiego do napisania Ody na cześć Kopernika, którą jako członek Tow. Przyjaciół Nauk w Warszawie po raz pierwszy odczytał takową na posiedzeniu towarzystwa w r. 1808. Pomnik w Toruniu, projektowany przez Staszyca, nie stanął, bo po roku 1815 Toruń dostał się pod panowanie Prus. — Śniadecki mimo przymówki uczynionéj mu przez Osińskiego — w czterech ostatnich wierszach Ody dla licznych zajęć nie napisał astronomji. Oda więc Osińskiego długo spoczywała w ukryciu, aż dopiéro w dniu 11 maja 1830 r. gdy uroczystość odsłonięcia warszawskiego pomnika zakończoną została wspólnym obiadem w hotelu wileńskim, danym przez Tow. Przyjaciół Nauk, na którym znajdowało się wiele dostojnych osób i znakomitych cudzoziemców różnych narodów, stósownie do programu napisanego Osiński raz drugi publicznie odczytał swą mowę na cześć Kopernika, przyjętą od swoich z entuzjazmem, czytał bowiem, jak to wiadomo wszystkim, tak cudnie, jak nikt nie czytał mu podobnie. Odtąd Oda ta w licznych znana odpisach dość powszechną stała się w Warszawie, ale wkrótce gwar wojenny przygłuszył ją i poszła w zapomnienie, i jeśli się nie mylę, dopiéro w lat trzydzieści dwa potém w zbiorze dzieł Osińskiego wydrukowaną została w Warszawie.

Oda o Koperniku

przez

L. Osińskiego*).

Najwyższy zakres śmiertelnika chwały,
Wydarte niebu tajniki stworzenia,
Olimpu godne przedsiębiorę pienia,
Ty, Uremio, wspieraj lot mój śmiały!

Niestała ludzi znana mi potęga,
Ani się nad jéj wielkością zdumiewam;
Wyższych myśl moja obrazów dosięga,
Świat mym zawodem, — Kopernika śpiewam.

Po jego śladach, wolen ziemskiéj trwogi,
Odwiedzam ciał niebieskich nieomylne drogi,
Mierzę wielkość natury; w przestworze wiszące,
Tajną siłą ruszanie, śledzę brył tysiące,
Jak się unoszą, toczą, przyciągają, krążą,
I do jednego celu zgodnym biegiem dążą.

Tam wreszcie dojdę, gdzie potężne bóstwo,
Wszystko na swojéj utrzymując straży,
Niezliczone światów mnóstwo
Na łonie wszechmocności piastuje i waży.

Zuchwałe ludzi i znikome plemie,
Proch, dumą wzniesion, chciał władać na niebie,
Za cel natury poczytał swą ziemię,
I resztę światów przeznaczył dla siebie.

O nadto mylne śmiertelników sądy!...
Dzikie marzenia wiek do wieku składał;
Człowiek tam niknął i mędrzec upadał,
Kędy się Boskie zaczynają rządy.

Próżnoż się mamy na ten zamiar silić?
Wszakżeż to Boże! Twa wielkość prawdziwa,
W ogromie niebios przebywa,
Pozwól tę świętą zasłonę uchylić.

Godniśmy cudów Twoich — ta istota drobna
Kiedy w niéj duch Twój działa, Tobie jest podobna,
Tak mówił człowiek, nie mając nadziei
Poznać, co przed nim noc zazdrosna kryła...
Aż w długich wieków kolei,
Powstał Kopernik... Ciemność ustępiła.

Jak słowo Wszechmocnego, życia, śmierci, źródło,
Dzieląc zmieszane natury zarody,
Z łona zamętu cały świat wywiodło,
Wielki obraz porządku, jedności i zgody;

---

*) W obecnéj chwili gdzie kwestja Kopernika ze stron obu tak zajmuje umysły, nie od rzeczy będzie to przytoczenie, zapomnianego i przebrzmiałego dziś już może wiersza.

Przyp. Red.

Równie stuwiecznéj nocy rozpędzając cienie,
Kopernik iskrę niebieską rozniecił,
Odróżnił Boską prawdę i złudzenie,
Zgruntował przepaść i ziemię oświecił.

Noc była: księżyc toczył wóz swój złoty,
Człek we śnie lubym z trosków się wyzuwał;
Tchnęły spoczynkiem ziemiańskie istoty,
Bliższy niebianów, sam Kopernik czuwał.

Uciszone Baltyku przyjęły go brzegi,
Tam zważał układ świata, mierzył planet biegi,
Nigdy go tak nie zajął ten widok wspaniały,
Zdało się że oglądał miejsce swojéj chwały.
Jaka myśl... jaka chwała w Kopernika duszy?
Jeden przelot rozumu, błędy wieków kruszy,..
O nagła zmiano! Czy moc przyrodzenia
Cuda mu swoje objawia?
Czy się porządek świata na nowo odmienia?
Czy to człowiek zgaduje, czy sam Bóg przemawia?

Światłem jaśnieje szyk wiecznéj budowy,
Czego nikt nie mógł dociec, staje się widomém,
Już to świat jego, świat nowy...
Dziwniejszy swą prostotą, niż samym ogromem.

Z nieskończoności w jedném oka mgnieniu,
Powstaje jasna przyrodzenia postać:
Mów — powiedz; szanowny cieniu,
Jak wielki moment! drugim twórcą zostać.

Zdumiony Bóstwa obrazem,
Kiedy twéj umysł stworzenia docieka:
Objaw to czucie: kiedyś ujrzał razem
Tryumf natury, prawdy i człowieka,

Nacóż się ludzki dowcip nie ośmieli?
Nad przyrodzenie wyższa sztuki władza,
Skraca rozległość, która światy dzieli:
Ta słońca żary do oka sprowadza,
Ta pył olbrzymią obdarza postawą:
Słabe doskonaląc zmysły,
Zda się, że jakąś czarodziejską sprawą
Postaci rzeczy już od nas zawisły.

Nie miał Kopernik tych ziemskich pomocy:
Zewnętrznéj siły duch nie potrzebuje,
Sam sobie rozjaśniając cienie czarnéj nocy,
Ciężkie opuszcza więzy, w niebo ulatuje,
I wszedłszy nad zmysłów ścieśniane granice
Tam zdobywa nieznane ludziom tajemnice,
Jakby miał wyższość nad śmiertelnych rodem;
On zaczął — on dokończył to dzieło ogromne
To tylko jego myśli stanie się dowodem.
Jako w zuchwałych Tatrach wicher nieużyty,
Silniejszy nad te głazy, nad wieczne granity,
Codzień i codzień swą wściekłość wywiera;
I gwałtowném natarciem więzienia rozdziera;
Każda chwila zniszczenia zostawuje znamie,
Rozdęta burza groźne szczyty łamie,
Prze — walczy — roztrąca — i ciska,
Z ciągłym łoskotem lecą skał urwiska;
Tak bystrym pędem wiek za wiekiem płynie,
Rodzą się, moment żyją, nikną pokolenia,
Ziemia swą postać odmienia:
Ileż dzieł wielkich w niepamięci ginie!
Lecz Koperniku! twoja, nasza chwała
Czasy zwycięży, równie jak świat trwała;
Dwieście wieków ubiegnie, i tysiączne lata
Wyjdą do nich z wieczności niezgłębnego łona,
Nim leniwy biegun świata
Od ciebie wskazanego obrotu dokona,
Żyć jeszcze będziesz — napełnisz ten przedział.
Oby w tym czasów szeregu,
Po tak cudownym twéj rachuby biegu,
Polak to sprawdzał, coś ty przepowiedział,
Wielkość zamiaru siły me obarcza,
Już wreszcie płochéj odwagi nie starcza...
Ty co w niezmiernym przestworze,
Przed nieskończonym nieba Majestatem,
Bezpieczny zwiedzasz to bezdenne morze,
Gdzie każda gwiazda punktem, a każdy punkt światem,
Dokończ Śniadecki gdzie twój duch przenika,
Czytaj tam imię twego poprzednika.
Wszakże ty byłeś zdolny nam wystawić:
Co Bóg mógł stworzyć, Koper objawić.

Dolina Kościeliska w Tatrach.

Skreślił Dr. E. Janota.

(Ciąg dalszy.)

Są jeszcze inne źródła dochodu dla górali naszych, gdyby ich zachęcano do korzystania z nich, a zarazem podano im możność odbytu. Tak w Wirtembergji i Turyngji w okolicach obfitujących w jałowiec znaczną ilość jagód jałowcowych wywożą do Indji wschodnich. W Szwajcarji w niektórych okolicach zbierają do wywozu borówki w znacznéj ilości, znakomity przytém mając zarobek. W Szumawie czeskiéj brusznice zaprawne winem w baryłeczkach daleko rozsyłają.

Do charakterystyki naszych Podhalan niechaj posłuży jeszcze następujący szczegół. Téj wiosny widząc się z pewnymi Zakopianami, nakłaniałem ich do strugania wykłówaczów do zębów, dzisiaj tak powszechnie używanych. Według tego, jak w Krakowie za nie płacą, okazało się, że mający jaką taką w struganiu zręczność, narobiłby ich dziennie za 30 do 50 centów. Przyrzekłem postarać się o zapewnienie odbytu, narzędzia potrzebne do strugania sam kupić chciałem. Zakopianie nie zjawili się więcéj, a wykłówacza nie dostarczyli ani jednego. W Nowym Jorku lepsze restauracje wypotrzebowują dziennie 600 do 1000 sztuk wykłówaczów. Sprowadzają je z Chili, a tutaj robią je z drzewa pomarańczowego. Jeden robotnik nastruga w godzinie 500 sztuk, a za 1000 płacą 45 cent. srebrem. Jeden tylko dom kupiecki w Nowym Jorku sprowadza tych wykłówaczów rocznie 5 do 6000 beczek. W Niemczech już zwrócono uwagę na ten przemysł. Trzmielina bardzo przydatna na wykłówacze rośnie na Podhalu nowotarskiém, spiskiém, (aż po Kiczmark) i liptowskiém (aż po Hradek). Do Krakowa srowadzają ten towar ze Szląska pruskiego.

Lecz czas ruszyć z Miętusiéj kiry. Minąwszy tedy tę polanę, przechodzi się przez mostek*) na zachodni brzeg wody kościeliskiéj. A dla czego nie Czarnego

*) Por. Roman Kaulfuss, die Slaven. Berlin 1842. Str. 9.

*) Die Central-Karpathen. Pest, 1863. Ungarns Urwälder. Pest, 1865. Zipser Anzeiger. Leutschau, 1866. Nr. 1—3.

Dunajca, skoro wszyscy ten strumień tak zowią? Otóż dla tego, że jeszcze żadnego nie słyszałem dostatecznego powodu, aby ta woda miała być Czarnym Dunajcem. Na mapie katastralnéj, jeżeli się nie mylę, tę samę nazwę ma potok płynący przez dolinę chochołowską. a ma ją jeżeli nie z większém, to przynajmniéj nie z mniejszém prawem, jak woda kościeliska. Potok doliny chochołowskiéj wypłynąwszy z gór, zabiera na wschodnim brzegu mniejszy płynący z doliny Lejowéj (między doliną kościeliską a chochołowską), a nieco niżéj łączy się z wodą kościeliską. Stąd dopiéro należy się obu połączonym strumieniom nazwa Czarnego Dunajca, tak samo, jak potok płynący od hut zakopiańskich nie jest Białym Dunajcem, lecz Bystrą, a nazwę Białego Dunajca dostaje dopiéro od Poronina, po połączeniu się z Cichą, płynącą na północnym rąbku Zakopanego pod Gubatówką i z Porońcem pod kościołem w Poroninie. Skąd zaś jedna z tych rzek, t. j. zachodnia, zowie się Czarnym, druga, t. j. wschodnia, Białym, nie trudno wytłomaczyć. Zjeżdżając z południowego stoku Górca — tak zowią Podhalanie Beskidy, zamykające od północy wyżynę nowotarską — z Niwy do Nowegotargu, Czarny Dunajec płynący już od wsi Czarnego Dunajca między niskiemi, torfiastemi brzegami czyli borami, wydaje się jak ciemna, zielona smuga, podczas gdy Biały Dunajec, mający spadek znaczniejszy a łoże zasłane daleko grubszym odtokiem granitu jasnéj barwy, niż Czarny Dunajec, skądkolwiek z góry widziany, przedstawia się jakby wstęga czystego srebra. Co do samego Dunajca zaś nie ulega wątpliwości, że ta nazwa nic nie znaczy innego, jak toń, głęboka woda lub w ogóle woda.

Przed wspomnianym mostkiem widać boczną drożynę, zwracającą się na wschód w las nad potokiem wpadającym nieopodal mostku do wody kościeliskiéj. Drogą tą dostać się można na polanę Zahradziska i do Miętusiéj doliny, tudzież na Upłaz. Przez wyłom, który namieniony potok z Miętusiéj doliny utworzył w wschodniéj ścianie doliny kościeliskiéj, widać po prawéj ręce (po stronie południowéj) tak zwaną Wielką Turnią, t. j. skaliste, przepaściste ramię Czerwonego Wierchu, wprost ku wschodowi wygląda między świerkami piramidalna czuba Giewontu, na lewo (po stronie północnéj) sterczą Konczysta i turnie jaworzyńskie.

Od mostku wspomnianego zaczynają się małe Kościeliska, Murawniki i porozrzucane gromadkami po dnie doliny smreki i jarzębiny koło drogi sadzone, tutaj jeszcze czasem owocujące, upiękniają tę część doliny. Przy saméj drodze między drzewami jest mała kapliczka, koło niéj są ławeczki. Szkoda, że gdy ją stawiano, nie było nikogo, coby się był o to postarał, ażeby była gustowniejszą. Nie wiem zresztą nic zajmującego o niéj, chyba to, czego jednak nie nazwę zajmującém, że raz kłódkę, którą zamykano drzwi kratowe kapliczki, i obrazki, któremi zdobią jéj ściany, pokradziono. Mam wielką ochotę o kradzież kłódki posądzić Kościeliszczan. Z wielkiém nieraz zbudowaniem i większą jeszcze przyjemnością nasłuchałem się ich wrzasków, gdy w dni targowe lub jarmarczne na pół lub całkiém pijani w późnéj nocy wracali z Nowegotargu, pędząc na złamanie karku. Nie byłbym wcale żałował, gdyby który z nich był rzeczywiście kark skręcił, biednych koniąt atoli zawsze żałowałem. Jeden z owych obrazków ukradł dziad jakiś, chodził z nim między ludzi i mówił, że mu się objawił, a ludzie głupcy wierzyli oszustowi i karmili go, aż pewien leśny poznał obraz i dziada obił. Wspomniana kapliczka ma stać w miejscu, w którém dawniéj większa stała kapliczka czyli kościołek.

Poniżéj kapliczki przy dolnym końcu dawnéj przekopy zaczynają się stare Kościeliska, i tutaj niedaleko od kapliczki widać szczątki dawnego dworu i leśniczówki, przed niewielą latmi jeszcze zamieszkałéj, daléj ślady kuźnicy (istniała do r. 1841), powyżéj stał młyn i tartak, naprzeciwko jest rozwalająca się karczma i rozwalony czardak. Po téj stronie drogi stało kilka chat hutników. W pobliżu leśniczówki są dwie piękne lipy, oczywiście sadzone, prawdopodobnie jedyne wśród Tatr okazy. Według Fuchsa lipa ustaje na wysokości 802·5 m. W dolinie Kościeliskiéj mamy ją wyjątkowo 971 m. nad pow. morza. W alpach szwajcarskich wznosi się do 1200 m.

Dotąd dojeżdża się zwykle wózkami; daléj lepiéj iść, niż jechać, chyba komu nie żal wózka, koniąt i własnych kości. W karczmie odpoczywali dawniéj strudzeni dalszemi wycieczkami na Smytnią, Ornak, lub nawet na Bystrą, a przemoknieni, o co w Tatrach nie trudno, suszyli się przy ogniu roznieconym na nalepie. I ja w téj karczmie w 1846 roku miałem nader przyjemny nocleg. Przybywszy pod wieczór pieszo z dwoma współuczniami do doliny Kościeliskiéj, strudzeni całodziennym pochodem nie pragnęliśmy niczego jak kawałka chléba lub ziemniaków z masłem lub mlekiem, a na posłanie trochy słomy lub siana. Atoli prócz garści jakiegoś berłogu i dwóch czy trzech suchych kukiełek nie dostaliśmy niczego. Po trochę mléka leniwéj karczmarce, jeżeli go nie miała, do bliskiego szałaszu nie chciało się posłać. Ta uprzejmość wznieciła w nas pewne podejrzenia co do bezpieczeństwa osób, a przynajmniéj zawiniątek naszych. Naprzeciwko szynkowni t. j. po drugiéj stronie sieni odkryliśmy izdebkę brudną, wilgotną i zatęchłą. Zajęliśmy ją na noc i otrzymawszy garść siana czy słomy, dwóch z nas położyło się na tém wyborném posłaniu, podparłszy wpoprzód drzwi drągiem, ja zaś wsunąwszy zawiniątko pod głowę, położyłem się na gołym stole. Było to moim zwyczajem, ile razy musiałem nocować w byle jakiém karczmisku, a czyniłem to dla spokoju od robactwa. Na domiar naszego niepowodzenia dzień następnjący był tak piękny i powabny jak ta karczma, niebo tak czyste, jak szyby w jéj oknach, szczyty naokoło zamglone, a gdyśmy ruszyli ku Pisanéj, przywitał nas rzęsisty deszcz, zmusił od Pisanéj do odwrotu i drogę zabłocił. Tak skończyła się pierwsza moja wycieczka do doliny Kościeliskiéj. Rzecz prosta, że odtąd do téj karczmy nieprzezwyciężony miałem wstręt i na wszystkich późniejszych wycieczkach unikałem jéj starannie. Przed kilką latmi znaleziono karczmarkę pewnego poranku zamordowaną w izbie. Odtąd nikt nie miał ochoty osieść w niéj; nie było też dla kogo i po co, mianowicie odkąd strażnicy oguścili sąsiedni czardak.

Pominąwszy kawałek drogi w Bramie, utworzony jakby dla doświadczenia zręczności gimnastycznéj przechodzących tamtędy ludzi i koni, resztę drogi aż do karczmy jak na Tatry dobrą nazwać trzeba, bo lepszéj nie ma tutaj istotnie nigdzie. Dno doliny równe, drobnym zasypane żwirem; większe odtoki głazu widać tylko koło potoku i w nim. Gdyby nagły spadek strumienia nie przekonywał o znaczném pochyleniu doliny ku północy, mniéj uważny łatwoby pomyślał, że jest do poziomu ułożona.

Kto zna tę drogę lub pozna ją kiedy, gotów posądzić mnie o zmyślenie, gdy mu teraz powiem, że na wyższéj Miętusiéj kirze na téjto drodze na samym środku zapadłem się nagle wraz z koniem i wózkiem, wprawdzie nie po same uszy, lecz koń po sam brzuch, wóz po osi. Rzecz miała się tak. W roku, nie pomnę już którym, nadzwyczaj dżdżystym, bawiłem kilka tygodni w Zakopaném. Był tam na kuracji profesor teologji z Tarnowa. Pobyt ten w Tatrach tak dobrze mu posłużył, że przed odjazdem postanowił zwiedzić przynajmniéj Mekkę i Medynę tatrzańską, t. j. dolinę Kościeliską i Morskie Oko. Do doliny Kościeliskiéj wybrał się ze mną i mieliśmy wyjść na Bystrą. Ranek był dosyć piękny; szliśmy więc pomału, ażeby się nie zmęczyć i ja zbierałem rośliny po drodze, z czego można

się już domyśleć, żeśmy nie doszli na Bystrą, bo jakkolwiek z Zakopanego na ten szczyt na mapie są tylko dwie mile, łatwiéj je zmierzyć cyrklem, niż nogami i piersiami czyli płucami. Gdyśmy dochodzili do ujścia doliny Kościeliskiéj, rzut oka na Babią Górę nie zapowiadał nam nic pocieszającego. Wszystkim mieszkającym w obrębie widnokręgu téj staréj czarownicy wiadomo, że jéj oblicze jest najpewniejszą skazówką pogody lub niepogody. Jest to grymaśna piękność z noskiem pełnym much i foch, co się nieraz i u młodziuchnych córek Ewy zdarza, a zatém u tak staréj panny, jaką jest Babia Góra, da się to tém łatwiéj pojąć i wytłomaczyć. Gdy się zasępi i turbanem szarych mgieł zakryje połowę twarzy, wonczas nie poradna puszczać się daleko w góry, nie chcąc się narazić na porządną kąpiel natryskową. Alę myśmy nie raczyli zważać na złe usposobienie téj wszechwładnéj rządczyni chmurami i deszczem na całą okolicę i puściliśmy się daléj. Ta fircykowata zuchwałość nasza obraziła niezmiernie starą piękność, a że podobno piękności ziemskie w wszystkich okresach bytu swego, przed rozkwitem, podczas kwitnienia i po okwitnieniu lubią zawsze mieć własną wolą i wszystko tłoczą pod swoje stopy, więc i my zostali przykładnie ukarani. Rozdąsana wielkomożna pozwoliła nam dojść prawie do samego szałaszu na Pysznéj, lecz gdyśmy się do niego zbliżyli, zawyrokowała: dotąd, a nie daléj, i rzęsistym deszczem zmusiła nas schronić się do szałaszu. Było już po trzeciéj z południa, więc o Bystréj ani marzyć, ale i do domu wrócić nie było jako, bo nietylko deszcz nie ustawał, lecz dla tém gruntowniejszego upokorzenia i sponiewierania nas wziął sobie do pomocy krupy, śnieg i wicher. W tém smutném położeniu pocieszaliśmy się tylko tém, że psom i owcom na polu było jeszcze gorzéj, niż nam, i postanowiliśmy usłuchać mądréj rady bacy i juhasów i zanocować w szałasie. Nocleg w szałasie może być niekiedy bardzo romantycznym; o ile zaś do nas dałby się zastosować ten piękny przymiotnik, zaraz zobaczymy. Jeżeli gdzie w domu jakim dla złego urządzenia kominów dymi się, słudzy lub właściciel takich kominów zawsze gotowe mają tłomaczenie, wina nie spada nigdy na komin, lecz według okoliczności na słońce, na wiatr lub na słotę. Co do szałaszów, a raczéj dymu w nich, nie słyszałem i nie spostrzegłem, aby słońcu jakikolwiek robiono zarzut, ale wichru i słoty przy najlepszéj woli niepodobna obmyć z winy. Mrugaliśmy więc oczyma, dopóki było można; lecz gdy nam dym dojechał, a raczéj dogryzł, zaczęliśmy przesiadać się z pod jednéj ściany pod drugą, z jednego kąta do drugiego. W wyborze miejsca dogodniejszego ograniczał nas deszcz przeciekający przez okopcony dach, t. j. pomiędzy tarcicami, zatém przyjemnéj barwy tabaczkowéj. Wreszcie usiedliśmy jak najbliżéj ognia przy saméj ziemi na stołeczkach, jakich nie znajdzie lada gdzie. Stołeczek taki jest to łupka drzewa długa na łokieć, przy któréj jednym końcu zostawiono końce dwóch konarów rozchodzących się, jak ramiona kąta. To są samorodne nóżki tych stołeczków. Siedząc tak milczący i patrzący w ogień, musieliśmy być podobni do indyjskich świętych lub chłopów oldenburskich, którzy też całe godziny umieją przesiedzieć przy ognisku z fajką w ustach, nic do siebie nie mówiąc i czasem tylko spluwając do ognia, co im jednak nie przeszkadza utrzymywać, iż się wybornie ubawili. Co do nas ta zachodziła różnica, żeśmy do ognia nie plwali, bo ogień u ludu rzecz święta, a plwać do niego jakby grzech, wreszcie żaden z nas nie twierdził nigdy, żeśmy się w tym szałasie ubawili.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

LWOWSKA.

KRONIKA LWOWSKA.

Lwów d. 12 grudnia.

Zawieja. — Nowe ulice. — Qui pro quo. — Teatr i p. Miłaszewski. — Huragan. — Szare ptaszę. — Turysta z musu. — Konfiskaty. — Obchód zgonu Mickiewicza. — Promyk. — Nowa powieść Z. Kaczkowskiego.

— β — W chwili, w któréj kreślę niniejszą pogadankę, wiatr dmie przeraźliwie, dzwoniąc płatami śniegu o zamarzłe szyby. Zima rozhulała się na dobre. Zamieć połączona ze ślizgawicą, nie pozwala ani na chwilę wyjrzeć na ulice tém dziś ponętniejsze, że obdarzone nowemi i historycznemi nazwami. I tak, ulica którą zamieszkuję, zowie się Kopernika, w poprzek niéj idąca Lindego, daléj Staszyca, za nią Zimorowicza i tak następnie. Jest ulica Kościuszki, Mickiewicza, Słowackiego, jednem słowem, w krótkim czasie zakuty nawet nieuk nauczyć się może we Lwowie literatury i historji polskiéj... Choć często z przyczyny zmiany nazw śmieszne zdarzają się wypadki. I tak, przed kilku dniami, pragnąc odwiedzić znajomego, przy ulicy Zimorowicza, pytałem o nią przechodniów. Żaden jednak nie umiał mnie objaśnić w któréj części miasta leży. Spotykam wreszcie butnego jakiegoś jegomości, z miną od stu djabłów, zaczepiam i pytam najuprzejmiéj:

— Czy nie mógłbyś mię pan dobrodziéj objaśnić, którędy mam iść na ulicę Zimorowicza?

— Co? hę? Zimorowicza? Ja takiego tutaj we Lwowie nie znam, taj chyba się pan myli.

— Ależ nie mylę, odrzekłem, — jest gdzieś ulica poety Zimorowicza — ale gdzie, w tém sęk właśnie.

— Poety?... A, a... to pewnie będzie ulica Sidorowicza.

— Ki licho, pomyślałem, kpi czy o drogę pyta. Ależ jakiego Sidorowicza, zapytałem głośno.

— No, tego rzeźnika Sidorowicza, to panie bardzo bogaty człowiek.

— Nie przeczę, odrzekłem tłumiąc wybuch śmiechu, ależ zkąd znowu, by jego mianem nazwać ulicę.

— Taj, dla czegóżby nie, to panie bardzo bogaty człowiek, odrzekł ponownie z przyciskiem.

Nie myślałem nigdy nad tém, żeby bogactwo dawało prawo do historyczności. Ależ prawda, żyjemy w wieku Rotszyldów, materjalizmu i czci dla złotego cielca. O biednym poecie Zimorowiczu, który nawet był burmistrzem Lwowa, zapomniano, ale o p. Sidorowiczu, zresztą może i najzacniejszym właścicielu jatek wiedzą wszyscy...

Te uwagi, zrobiwszy po cichu sobie, ukłoniłem się i odszedłem od jegomości, któremu pewnie sielanki wdzięcznego pieśniarza — snu nigdy nie zakłucą. Biedni poeci!

Z Zimorowiczem ma się tak zupełnie, jak z owym napisem na placu teatralnym: „Tu droga na tandetę.“ Gdzie tandeta — a gdzie teatr. Ale mniejsza o to, skorośmy o świątynię Melpomeny zaczepili, pomówmy słówko o niéj. A naprzód zastrzegamy się, że ani do przyjaciół ani do wrogów pana Miłaszewskiego nie należymy. Dla nas osobistość pana dyrektora tak jest obojętną, jak obojętną jest nam osoba maszynisty przesuwającego dekoracje na scenie. Idzie nam o rzecz

a nie o osoby... Otóż, rozpatrzywszy się dobrze w repertoarzu i w obsadzeniu, przekonaliśmy się, że krytyka słuszne robi zarzuty obecnéj dyrekcji, pomawiając ją o brak dobrego smaku i lekceważenie publiczności. Od bardzo dawnego czasu, — a liczym erę naszą od usunięcia się ze sceny lwowskiéj państwa Wolańskich, nie mieliśmy nic nowego w teatrze. Stare rzeczy przeżuwamy, śmiejemy się z fars rzęsiście nam podawanych i na tém koniec... A jednak, przy trochę więcéj energji, trochę więcéj pilności — moglibyśmy wcale niezłe oglądać sztuki, nie marząc już o Szekspirze, choćby Fredry ojca, Bogusławskich, Sardou lub innych wreszcie. Boć siły są po temu... Była taka pani Rakiewicz artystka niepośledniéj wartości, jest panna Deryng tak sympatycznie powitana w „Marji Tudor", jest p. Natorski do ról charakterystycznych, jest wreszcie wyborny komik p. Linkowski, brak nam tylko kochanka. Bo ani p. Szymański rutynowany lecz poważniejszy już artysta, ani p. Leszczyński żadną miarą grać ról amantów nie mogą. Może tę lukę zapełni bawiący tu właśnie p. Wardzyński, który jak mi wiadomo, przyjechał w chęci angażowania się na te role. Cała tedy polityka dyrekcji leży w tém, aby go zaangażować. Czy jednak dyrekcja pójdzie za ogólném życzeniem — nie śmiemy prorokować.

Wspominaliśmy że sztuk nowych dawno już nie widzieliśmy na scenie naszéj, to też z prawdziwą radością chwytamy wiadomość o nowéj komedji pana Urbańskiego zatytułowanéj „Huragan" którą wkrótce ujrzymy wprowadzoną na benefis pani Linkowskiéj. Nie mogąc nic o niéj bliższego dowiedzieć się, tymczasem ograniczamy się na téj wzmiance, odkładając sprawozdanie do następnéj kroniki. Będziemy jednak korzystać z tego natrącenia o nazwisko p. Aurelego Urbańskiego, aby rzec słówko o jego „Szarém ptaszęciu" maleńkim zbiorku poezji, który temi czasy wyfrunął z gniazdka. Owoż, to szare ptaszę, niejednego czytelnika zrazić może swém niefrapującém mianem. Ale niechno mu pozwoli wyśpiewać do końca pieśń swoją, a pozna wnet, że mimo skromnéj formy i niepozornych piórek, — szare ptaszę posiada słowiczą skalę głosu i umie zalśnić na chwilę tęczowemi piórkami. Na chwilę mówię, bo obok cudnych rzeczy, jak: leżała w trumnie, rozmowa z sierotą, aktorka, mały światek — i przepysznéj niewoli babilońskiéj, poematu większego zakroju, — wnet dysonans zapożyczony z Hejnego, jadem goryczy bryźnie na ciebie i zakłóci poprzednie obrazy. W zbiorku p. Urbańskiego znać poetę zdolnego, pełnego zapału i siły, które przebijają się szczególniéj w toaście na dzień 15go sierpnia. Pozwólcie, że go w części przytoczę:

Ja inny toast wznoszę wam.

....

Ja wznoszę zdrowie naszych wrogów,
I piję je na cześć batogów,
Co grzbiety braci naszéj tną!

Gdzie z pieśnią zgody, łzą pociechy,
Pochlebstwem głaszcząc stare grzechy,
Uściskiem chce się bratać wróg;
I krzywiąc usta w śmiech kłamany,
Szampanem zlewa świeże rany,
O, tam niepewny zemsty dług!

Lecz gdzie rzemienne świszczą baty,
Gdzie we krwi męże, w zgliszczach chaty,
Niewiasty w krwawych wiecznie łzach...
Gdzie wróg nie głaszcze, lecz ponury,
Z obliczem kata drze ze skóry,
Tam z świstem pletni — górą lach!

Bo nie z marmurów, — lecz z krwi, kości,
Powstaje feniks, ptak wolności,
A czarna noc wydaje dzień...
Pój lwię szampanem, ulęż w puchu,
I głaszcząc, trzymaj na łańcuchu,
A mieć legawca będziesz zeń!

A więc......
Ja wznoszę zdrowie wrogów,
I pije je na cześć batogów!
Wschodzące słońce wita je!

Z dzieł nowych znany autor „Kaukazu i „Sołdata" Jakób Gordon zapowiada „Turystę z musu" — w tym celu ogłosił już prenumeratę. Zresztą, w księgarstwie i literaturze perjodycznéj cisza, którą czasem przerwie cesarsko królewski prokurator zapowiadając uroczyście konfiskatę. W krótkim bardzo czasie, uległy już konfiskacie Gazeta narodowa, Dziennik polski, Szczutek i niewinny jak niemowlę Opiekun dzieci polskich!...

Ostatnich dni ubiegłego miesiąca mieliśmy tu niezwykłą uroczystość. Dnia 28go listopada wieczór wielka sala w ratuszu, przeznaczona na posiedzenia rady miejskiéj, a zarazem i na koncerta, ponieważ innéj niestety zbudowanéj wyłącznie na ten cel we Lwowie nie mamy, napełniła się tak liczną publicznością, jak tu nam się nie często zdarza widzieć. Istnieje tu we Lwowie, podobnie jak w Krakowie stowarzyszenie akademików pod nazwą „Czytelnia akademicka", mające na celu rozbudzanie życia koleżeńskiego między słuchaczami obu akademji, a zarazem kształcenie się wzajemne, w którym to celu urządzane są co tygodnia odczyty, wykłady i wieczorki muzykalne. Otóż Czytelnia urządziła tamtego roku po raz pierwszy publicznie uroczyste uświęcenie rocznicy zgonu Adama Mickiewicza, a tego roku to samo powtórzyła. Program wieczorku był bardzo piękny i urozmaicony, i to było powodem tak licznego zgromadzenia; salę, w któréj na podniesieniu stał biust wieszcza, uwieńczony kwiatami i zielenią, napełnili akademicy, profesorowie i literaci, galerje były przeznaczone dla pań i mężczyzn za biletami.

Uroczystość rozpoczął pan Bronisław Zawadzki, prezes Czytelni, mową, w któréj określił stanowisko i znaczenie poezji polskiéj w epoce porozbiorowéj, wykazał, że w niéj stworzył sobie uciśniony naród uidealizowaną niejako ojczyznę, że ona była jego ucieczką i pocieszycielką w czasie niewoli i rozdarcia.

Po p. Zawadzkim, miał p. Władysław Kosiński, zastępca prezesa, odczyt o Mickiewiczu, określający w ogólnych zarysach znaczenie jego jako wieszcza narodowego; zanadto czas był ograniczony, aby można było choć jako tako wyczerpujące studjum odczytać, ale mimo to młody, skromny prelegent zyskał sobie jak najzupełniejsze uznanie u publiczności. Odegrane Trio Mozarta (Es-dur) na fortepian, skrzypce i wiolonczelę, nie pozostało bez głębokiego wrażenia; był to bowiem jeden z najulubieńszych utworów muzycznych Mickiewicza, a może niejeden natchniony wiersz powstał pod wpływem tych czarujących melodji. Deklamacja tak trudnego wiersza, jak „Oda do młodości", wypadła bardzo dobrze; p. Małachowski przelał tyle uczucia w te wyrazy najwyższéj ekstazy wieszcza, że wiersz ten podwójnéj przez to nabrał siły; dałby też Bóg, aby te wyrazy głęboko utkwiły w wrażliwych jeszcze umysłach naszéj młodzieży, któréj zapał do pracy, do czynu zdaje się z każdym rokiem chłodnieć. Następnie p. Bogucki odśpiewał „Modlitwę Stradelli", a pan Cetwiński „Znaszli ten kraj?" do czego muzykę dorobił St. Moniuszko; obaj śpiewacy, ale szczególnie pan Cetwiński zyskał sobie swoim sympatycznym dźwięcznym głosem ogólne uznanie i musiał ostatnią strofkę utworu po raz drugi powtórzyć; nareszcie p. Tchórznicki odegrał polonez

i cudnie piękny „Marche funèbre“ Chopina. Na zakończenie przemówił pan Ziemiałkowski, prezydent miasta, i p. Strzelecki, profesor akademji technicznéj i prezes towarzystwa pedagogicznego, kilka serdecznych słów do młodzieży; mieliśmy nadzieję usłyszeć także coś od któregoś z poważniejszych profesorów uniwersytetu, ale nadzieje nas zawiodły... Publiczność rozeszła się przed godziną dziesiątą i wyniosła z sobą niezatarte wrażenie. Wdzięczni jesteśmy Czytelni za urządzenie takiego wieczorku; oderwał on nas choć na chwilę od codziennych trosk, a kiedy raz to już weszło w życie, nie powinna Czytelnia i w późniejszych latach tego zaniedbywać; wartoby nawet aby urządzała obchody tego rodzaju przynajmniéj kilka razy do roku, aby niejako przypomnieć się publiczności i dać objawy życia i istnienia, czego brak ogólnie Czytelni zarzucają.

Z niepewnością, czy projekt mój znajdzie poparcie u młodzieży naszéj a szczególniéj młodzieży uniwersyteckiéj, rzucam myśl urządzenia podobnéj uroczystości na dzień urodzin lub śmierci Kazimierza Brodzińskiego, o którego zasługach młodzież wie dobrze, bo znaczną ich część dla niéj położył poeta. Poprzednik Adama — był tym Janem Chrzcicielem poezji polskiéj, który zapowiadał przyjście Mistrza! On, z katedry ogłaszał młodzieży nową erę literatury, on ją wprowadził na drogę nowych odkryć i zdobyczy w piśmiennictwie narodowém. Dziś, gdy pamięci tego męża nowy hołd oddają — ogłaszając kompletną edycję dzieł jego, w którą wejdą nieznane dotąd wykłady akademickie o literaturze polskiéj, dziś, powtarzam — jest pora do wprowadzenia w czyn téj myśli.

Na zakończenie i tak już przydługiéj korespondencji, podzielę się z wami wiadomością, że „Opiekun polskich dzieci,“ pismo które dotychczas wychodziło dla młodzieży, łączy się z nowo-powstającym Promykiem któremu oby lepiéj się wiodło od jego poprzednika, szczerém jest naszem życzeniem. Dla wiadomości czysto bibliograficznéj treści; podaję jeszcze wzmiankę o świeżo wyszłéj nakładem F. H. Richtera powieści Zygmunta Kaczkowskiego p. t. „Żydowscy“ z któréj sprawozdanie pozostawiam urzędowemu waszemu recenzentowi.

Korespondencja z Warszawy.

Warszawa w grudniu.

Wiecie zapewne o tém, że Unger, tutejszy wydawca Tygodnika Illustrowanego, rozpoczął druk wszystkich poezji Władysława Syrokomli na korzyść wdowy i sierot po zgasłym poecie. Dotąd dzieł tych wyszło już trzy tomy. Owóż Unger pojechał pewnego pięknego poranku do „niezrównanéj wieszczki“ Deotymy prosząc ją, by w swoich licznych i arystokratycznych stosunkach postarała się zbyć kilka biletów prenumeracyjnych. Deotyma odmówiła — dając za powód, że Syrokomla był słabym poetą i nieszczególnéj moralności człowiekiem. Unger na to jéj odrzekł:

— Co do wartości poetycznéj Syrokomli nie wiem, bo się nie znam na tém — człowiekiem zaś był uczciwym o tém wiem — i o tém także że zostawił wdowę i sieroty w ubóstwie. Żegnam panią.

Jak wam się to podoba? Niezrównana wieszczka przez zamglone swe oczy źle jakoś na świat patrzy. Ale to już takie czasy — zmaleliśmy strasznie. Tutaj n. p. w Warszawie przed smutnym karnawałem 72 roku w którym bawić się opinja publiczna nie dozwoli, chcąc odbić teraz stracony czas w przyszłości, na gwałt wszyscy się bawią. Pustki w umysłach i w sercach pustki!... Polityką się kto tylko żyje to zajmuje — według tych zaściankowych dyplomatów Austrjaków „ino widać pod Warszawą.“ Moskiewskie za to pisma, mianowicie Gołos wygaduje co mu ślina do ust przyniesie o „priwislińskom kraje.“

Z nowości ukazała się arcy-pożyteczna książka „Pamiętniki Benjamina Franklina“ w polskim przekładzie. Aż miło przeczytać takie dzieje. Drży tam duch jakiś poważny, istnie republikański, cichy, spokojny a silny w sobie jak marmurowy posąg grecki. Pożywna to strawa na nasze czasy — kiedy wszystkie pisma przemieniły się w wyróżowaną zalotnicę, uśmiechającą się do każdego, karmiącą grubą strawą sensualną.. To też od Nowego Roku z upragnieniem oczekujemy nowych pism. Najwięcéj obiecującém będzie jak się zdaje Przemysł i Przyroda, mające wychodzić raz na tydzień, poświęcone ostatniemu wyrazowi nauki. Nominalnym redaktorem takowego jest p. Hertz, człowiek młody, zdolny, nauczyciel któregoś z tutejszych gimnazji — de facto zaś całe gremium redakcji ma się składać z bardzo wielu osób. Jak dalece potrzebném było tego rodzaju pismo, najlepszy dowód mamy w tém, że prenumerata szalenie podobno idzie — nawet jakiś emigrant z Nowéj Hollandji zapisał się na nie. Obiecują drukować w niém całe dzieło Darwina „O przemianie gatunków.“ Mówiono mi, że redakcja położyła sobie za zadanie, iż jeśli nie będzie odpowiednich prac oryginalnych, zajmie się głównie przekładami, stojącemi au courant nauki. Szczęść jéj Boże! Z innych pism mających ukazać swe rumiane oblicze na świat z dniem Nowego Roku, wydatnieje Wieniec, którego wydawcą jest Orgelbrandt a redaktorem en chef Bogusławski, piszący politykę w Kurjerku warszawskim i w poczuciu swéj wielkości dający w czasie ostatniéj wojny genjalne rady generałom francuzkim i pruskim. Pismo to będzie illustrowaném i niepospolicie taniem, bo wychodząc dwa razy na tydzień t. j. we środę i piątek, obiecuje dać 16 stronnic druku za 3 złp. na miesiąc. Wartości jego naturalnie przesądzać nie możem — chociaż wątpim patrząc na p. Bogusławskiego. Trzeciem nakoniec pismem będzie Niwa, założona zbiorowemi siły młodych tutejszych patronów trybunału. Jéj redaktorem został p. Schönmann, figura nieznana, wychowaniec b. Szkoły Głównéj. Co to będzie, zobaczymy. Młode te pisma rumiane nadzieją i radością wyjścia na świat Boży obiecują złote góry wszystkim, byle je tylko prenumerowali. Za to dawne niechcąc naturalnie pozostać w tyle, także cuda obiecują. Tygodnik Illustrowany powiększa swoją objętość i będzie dodawał Ramotki śp. Chirurga filozofji z rysunkami Kostrzewskiego. Edycja to ma być nader tania i piękna. Przegląd Tygodniowy zapowiada zwiększenie formatu wraz z zwiększeniem opłaty prenumeracyjnéj i dwunastu tomów powieści i rozpraw. Wyszedł już drugi zeszyt jego Encyklopedji. Praca to dobra, naturalnie nie wolna od pewnych usterek, czego uniknąć niepodobna — jako podręcznik niezmiernie użyteczna.

Oto co się dzieje w literaturze u nas, zasypanéj teraz w przeddzień świąt Bożego Narodzenia, mnóstwem książeczek dla dzieci — w życiu społecznym zaś wszystko po dawnemu. Drożyzna się wzmaga, więc rząd „dbały o dobro swych poddanych“ (stereotypowa forma) ma dać gratyfikacje urzędnikom w istocie tego potrze-

bującym. Z drugiéj za to strony zniósł żłobek w szpitalu Dzieciątka Jezus, gdzie wrzucano podrzutków. Jak to będzie, nie wiemy. Wprawdzie doświadczenie przekonało, że w razie zniesienia żłobków liczba dzieci podrzuconych znacznie się zmniejszyła, ale za to znajdowano je na ulicach, schodach, sieniach i t. d. co naturalnie jest gorszém. Dla czego zaś w Warszawie tak uczyniono, nie wiemy. Przy zimie zabierającéj się do nas jakoś na prawdę, przy drożyznie liczba ubóstwa wzrastać naturalnie będzie. Towarzystwo Dobroczynności zakłada u siebie Bazar dla ubogich — prelekcje wciąż trwają. Pan Rewieński, współpracownik Gazety Rolniczéj Mieczyńskiego, miał tu prelekcję o rolnictwie — ale naiwny prelegent mówił, że miléj jest żnąć sierpem zboże i słuchać śpiewu skowronka, jak żniwiarką... Gazeta Rolnicza drży podobno ze strachu, co nic nie jest dziwnego, jeśli ma takich współpracowników, bo pojawić się ma nowe pismo p. t. Tygodnik Rolniczy. W skład téj nowéj gwiazdy wchodzi wielu młodych i specjalnych ludzi — więc konkurencja niebezpieczna dla śniącéj na laurach Mieczyńszczanki, jak ją ktoś nazwał.

W teatrze był suty benefis na korzyść Stolpego, zasłużonego choć niegienialnego artysty tutejszéj sceny. Witano go grzmotem oklasków, obdarowano — pani Modrzejewska wiersz Mirona ad hoc napisany wygłosiła. Stolpe zebrał podobno moc pieniędzy, co naturalnie jest dlań rzeczą arcy potrzebną, bo jak skandaliczna kronika tutejsza opiewa, panna Micińska (artystka) dużo kosztuje. Na benefis panny Miller-Czechowskiéj ma być daną słynna Afrykanka — poczém ta drogo opłacana osoba wyjeżdża na urlop. Z nowości ukazała się komedyjka przerobiona przez p. Zalewskiego z francuzkiego p. t. Bez stanu — ale niefortunna.

Na Wystawie Sztuk Pięknych żadnéj większéj nowości. Mają tylko zrównać opłatę za wejście, to jest na 15 groszy tak w święta jak i w dni powszednie. — co podobno będzie daleko lepszém.

Z nowości literackich mówią tu że p. Juljan Ochorowicz tłomaczy Quatrefage'a, a Przyborowski Walery Henryka VIII z Szekspira — zresztą nic więcéj!

X.

POKŁOSIE.

— Wyszedł drugi zeszyt Adama Wiślickiego Podręcznéj Encyklopedji powszechnéj.

— Sprawozdanie dwuroczne z czynności „Instytucji czci i chleba" w Paryżu pod przewodnictwem Seweryna Elzanowskiego wykazując remanent kasowy w ilości 5,519 franków i 34 centów wzywa do regularnego uiszczania podatku stowarzyszonych i do przystąpienia członków do towarzystwa lub do nadsyłania jednorazowych darów.

— W ostatnich czasach mieli odczyty w Poznaniu: Dr. Władysław Łebiński „O idealistach", Dr. Czapski „O karze śmierci" i Dr. Stanisław Warnka „O Wallensteinie."

— Bolesław Syrewicz, rzeźbiarz warszawski, wykończył z białego marmuru popiersie Fryderyka Szopena.

— Wyszła świeżo we Lwowie nakładem Seyfartha i Czajkowskiego, książka Władysława Łozińskiego p. t. „Z estetyki i z życia." Jest to zbiór odczytów, jakie autor miał w swoim czasie dla płci pięknéj, w zajmujący sposób wypowiedzianych.

— Nakładem Karola Wilda opuściła prasę nowa praca dla dzieci p. Władysława Bełzy p. t. „Złote literki." Jest to zbiór wierszyków i bajeczek ujętych w przystępną formę.

— W osobnéj odbitce ogłasza wydawnictwo „Kraju" broszurkę p. n. „Sprawa szkół ludowych i wychowania początkowego w Galicji na tegorocznéj sesji sejmowéj.

— Następujący list ze Lwowa, dotyczący Lwowskiego Rękodzielnika, broni wprawdzie zaczepionéj przez naszego korespondenta osoby p. Alfreda Młockiego, lecz nie odpowiada wyczerpująco na wszystkie zarzuty, uczynione wydawnictwu Rękodzielnika. Mimo to podajemy tu odebrany list w całości:

Lwów 3 grudnia 1871.

W nr. 38 Tygodnika znajduje się w Pokłosiu artykuł p. n. O lwowskim Rękodzielniku piszą nam co nastepuje. — Umieszczenie tego artykuliku tłomaczę sobie tylko brakiem znajomości stosunków naszych ze strony szanownéj redakcji, każdy bowiem znający galicyjskie stosunki literackie przeczytawszy pomieniony artykulik musi nabrać przekonania, że raczéj niechęć ku p. Alfredowi Młockiemu niźli chęć dania wskazówek redakcji rękodzielnika powodowała autorem. Nie przeczę, że Rękodzielnik jest pisemkiem bardzo słabo redagowaném, jeśli jednak tak jest, jeśli autor korespondencji to widzi, jeśli przytém uznaje potrzebę takiego pisma, czyż nie lepiéjby było pomódz redakcji, dostarczyć jéj życiorysów Peela, Schmitta, Borsiga Lilpopa, które tak gorąco pragnie widzieć w odcinku Rękodzielnika itd. niźli insynuować redaktorowi i nakładcy zamiary o których im się nie śniło. Jużto p. Alfred Młocki dziwne ma szczęście. Kiedy w roku 1866 wydał książkę pod tytułem „krótki rys walki zasad" pan Bernard Kalicki dowiódł mu w Przeglądzie krakowskim jasno jak na dłoni że jest rewolucjonistą à tout prix że chce rewolucji jako celu a nie jako środka. Kiedy daléj w roku 1867 zaczął tenże sam Młocki wydawać broszurki ludowe zawierające powiększéj części życiorysy Świętych polskich, krzyknięto nań ze wsze h stron: ultramontan! bigot zwolennik polityki prymasa Ledóchowskiego i Bóg wie nieco! Teraz wreszcie zarzucają mu, że spekuluje na kieszenie rękodzielników. Zarzut byłby boleśny gdyby nie był śmieszny! Na dzienniczku wychodzącym dwa razy na miesiąc i przeznaczonym dla ubogiéj klasy czeladników nikt u nas jeszcze majątku nie zrobił i nie zrobi tak prędko. Komuś który wydał już kilka tysięcy na cele oświaty ludowéj, za którego staraniem co najmniéj 60,000 książeczek rozeszło się po chatach wsi i miasteczek naszych insynuować że spukuluje na czyjąś kieszeń może chyba zupełna niewiadomośé albo zła wola. Rękodzielnik nie miał nigdy nad 250 prenumerujących. Redaktor, administracja i expedycja były i są bezpłatne a mimo to pan Alfred Młocki co rok dodaje kilkaset złotych. Oto jest spekulacja na cudze kieszenie. Przedstawiłem prawdziwy stan rzeczy. Zdaje mi się, że tych słów kilka wystarczy na zbicie bezzasadnych zarzutów a szanowna redakcja zechce je umieśeić w interesie prawdy.

A. R.

* * *

— Zapowiedziane w Pokłosiu nr. 44 naszego Tygodnika dzieło p. n. „Ludowi polskiemu zdrowe rady z pola myślicieli zebrane przynosi szczery jego przyjaciel Karól Forster, stanowiące ostatnią pracę niezmordowanego i zasłużonego piśmiennictwu naszemu autora, podjętą w celu rozwoju rozsądnéj a przytem tak mało w czynie wspieranéj oświaty — wyszło już z druku i jest do nabycia. Polecając je gorąco wszystkim warstwom naszego społeczeństwa, przypominamy tu naszéj myślącéj i dbającéj o dobro narodu publiczności, że w ostatnim lat dziesiątku tyle u nas pisano o Oświacie ludowéj, że było można spodziewać się jakiegokolwiek skutku po tylu wołaniach. Inaczéj przecież się stało. Wojny austrjacka i francuzka, kwestja rzymska, obecna walka staro i nowokatolików w Niemczech, wszystko to zaprzątając, może niepotrzebnie, nasze umysły, odrywało nas od spraw domowych, budziło płonne nadzieje i wyradzało polityczne dziwolągi. — Wiedzeni instynk-

tem zachowawczym, przeczuwaliśmy może ważność oświaty ludowéj, ale brak wytrwałości i nowy zbieg wypadków zepchnął nas z toru. Obecnie żyjemy bez wytkniętego celu, bez programatu, bez jutra, — żyjemy życiem bezwiednėm, życiem niedbającego o los swój niewolnika. Mniéj polityki a więcéj oświaty powinno stać się naszem hasłem. — Karol Forster pojmując całą doniosłość zwłaszcza téj oświaty, któréj prąd idzie z dołu, poświęcił wiele lat życia na wzbogacenie naszego piśmiennictwa swoją „Bibljoteką nauk moralnych i politycznych" tudzież swemi „książeczkami dla klas pracujących polskich," a „zdrowemi radami" uwieńczył ten kilkunasto-tomowy szereg prac użytecznych W temże ostatniem z dziedziny oświaty ludowéj dziele zebrał sędziwy autor znaczną liczbę prawd uznanych, orzeczeń przysłowiowych i zdań sławnych mężów, które uporządkował wedle treści i podzielił na rozdziały następujące: Rodzina, Dom, Zdrowie, Wychowanie i nauka, Profesja i interesa, Pieniądze, Stosunki społeczne, publiczne i prywatne, Namiętności, wady, przywyknienia, Doświadczenie, życie i śmierć. Do tego zbioru dodał autor przekład pouczającego odczytu o Zarządzie samego siebie, mianego w przytułku rzemieślniczym w Vincennes przez arcybiskupa paryzkiego G. de Darboy.

* * *

— W Petersburgu wyszły zebrane pisma krytyka rosyjskiego **Dobrolubowa**.

— **Muchanow** wydał Zapiski hetmana Żółkiewskiego o moskiewskiéj wojnie — w języku rosyjskim.

— W Mitawie wyszedł nowy zbiór nowelli **Iwana Turgenjewa** z których jedna p. n. Helena, szczególną na siebie zwraca uwagę. Po mistrzowskn naszkicowana Helena jest Rosjanką, która bez woli rodziców wychodzi za młodego Bułgara patrjotę, wprowadzonego do jéj domu rodzicielskiego. Głos powstającéj ojczyzny zwołuje młodożeńca do szeregów walczącycb; Helena pragnąc dzielić losy swego męża, towarzyszy mu w podróży, w któréj on umiera, nie osiągnąwszy celu.

— W Zagrzebiu wychodzić będzie w języku horwackim pod redaktorstwem **Marji Tabkowickiéj** „Bibljoteka żeńska."

— W teatrze ruskim we Lwowie przedstawiono we wtorek dobrze przetłomaczony przez **K. Klimkiewicza** dramat Korzeniowskiego: „Karpaccy górale." — W tych dniach graną będzie „**Halka**" Moniuszki. (Kraj).

— **Wincenty Padula da Acri** wydał w Neapolu dzieło p. n.: „Protogea, ossia l'Europa preistorica."

* * *

— Wydany w Berlinie pierwszy zeszyt zbioru przełożonych z języka niemieckiego na angielski rozpraw treści naukowéj, historycznéj i artystycznéj p. n. **Quarterly German Magazine** zawiera: **R. Virchowa** porównawczą Kraniologję człowieka z małpą, **A. v. Graefego** o wzroku i jego organie, — i **H. W. Dovego** o Cyrkulacji wody na powierzchni ziemi.

— Dr. **A. Bastian** występuje w czasopiśmie niemieckiém poświęconém etnologji przeciw teorji **Darwina** o pochodzeniu człowieka.

— **Henryka Kruse** dramat „Die Gräfin" wyszła w trzeciem wydaniu, a „Wullenwever" w drugiém. — W Hrabinie owym duchu autokratycznym, który nie odstępując na włos od tego co uznał za słuszność, gubi siebie i rodzinę swoją, — przedstawia nam autor Theę, hrabinę Wschodniéj Fryzji w walce z hrabią Oldenburgskim i ze szlachtą fryzyjską, w końcu XV stulecia. — Drugi dramat Krusego p. n. „Wullenwever" więcéj przypada do smaku Niemców upojonych ostatniemi zwycięztwami. W osobie Wullenwevera, burmistrza Lubeki, ur. r. 1492 a ściętego r. 1537, przedstawia się nam typ chciwego władzy i panowania Niemca, – wprawdzie nie szlacheckiego Krzyżaka, nie biskupa szerzącego chrześcijaństwo z mieczem i z pochodnią w ręku, — ale natomiast Niemca plebejusza, syna i przyjaciela ludu sięgającego po Holsztyn, po Danję, po morze niemieckie. Głównym przedmiotem tego dramatu jest owa walka, podjęta przez Wullenwevera, któremu nieprzychylni mu patrycjusze gotują śmierć na rusztowaniu. — Jak popularną jest postać tego burmistrza w Niemczech, świadczy o tém zajmowanie się nią pisarzy niemieckich, życiorys Wullenwevera skreślił r. 1835 Raumer a następnie Stricker i Waitz, a w dziale belletrystycznym spotykamy tęż postać oprócz u Henryka Kruse w dziełach L. Köhler'a i Gutzkow'a.

— W Lipsku wychodzi zbiór pism **Alfreda Meissner'a**, autora epopei Ziska, ur. w Cieplicach r. 1822. Pochodząc z rodziny niemieckiéj zrodzony przecież w Czechach, przechylał się początkowo na stronę krajowców, wśród których wzrosł i wychował się; — w dalszym jednak biegu swéj karjery literackiéj, skłonił się zupełnie ku Germanizmowi.

— Braumüller w Wiedniu wydaje zbiór pism źródłowych do dziejów sztuki i techniki wieków średnich i przejściowych: z dzieł tych wyszedł już przekł d niemiecki **Cennino-Cennini**'ego Księgi o Sztuce czyli rozprawa o malarstwie.

— **Ferdynand Hiller** wydał przypisane cesarzowéj Auguście dziełko „Aus dem Tonleben unserer Zeit", z którego jako kurjozum prorocze przytaczamy następujący ustęp: „Być może, pisze autor, że przyjdzie kiedyś ten czas, w którym kalendarze nasze zamiast wykazywać rozliczne imiona mężów świętych, o których życiu i czynach najprawowierniejszy nawet nader szczupłe tylko miewa wiadomości, — naznaczą dnie urodzenia i śmierci mężów tych, którzy na rozwój kultury w najrozciąglejszém tego wyrazu znaczeniu najwybitniejsze wywierali wpływy. W takim razie zapiszemy — my Niemcy przynajmniéj — pod datą 17 grudnia: Ludwik von Beethoven." — Coś podobnego, jeżeli nie bardzo się mylimy, pisał nasz Gordon o Janie-Jakóbie Rousseau i zciągnął na siebie gromy naszych jezuitów. — Taki też los czeka niezawodnie p. Ferdynanda Hillera, a książka jego pójdzie na „Index."

— Doskonale charakteryzującego **Niemców** dzieła p. n. „Zwei Bücher Chroniken des Jahres 1870—1871" wyszedł piąty zeszyt zakończony proroctwem zpopularyzowanego **Kutschke**'go: „A na wieży strasburgskiéj stać będzie profesor niemiecki, przypatrujący się tym zawieruchom; — a skoro będzie czas, uderzy na balustradę i zawoła „Finis Galliae" i „Spokój na ziemi a ludom szczęście!" — Oby ów prorok niemiecki mocno się trzymał strasburgskiéj „balustrady" a przypadkiem nie spojrzał na wschód.....

* * *

— Odnosząc się do wzmianki zawartéj w Pokłosiu Nr. 45 naszego Tygodnika a dotyczącéj się **Madonny Holbeinowéj**, wystawionéj w muzeum drezdeńskiém, powtarzamy poniżéj, co kompetentny znawca p. **C. Schnaase** orzekł w tym względzie: „Madonna Holbeinowa darmsztacka uchodzi za pracę oryginalną **Holbeina**, lecz odnowiona nieumiejętnie, straciła znacznie na pierwotnéj piękności, którą trudno będzie odtworzyć; Madonna zaś drezdeńska nie wytrzyma wprawdzie twierdzenia oryginalności, ale natomiast o wiele się piękniéj przedstawia od poprzedniéj, a piękność ta przypomina w głównych zarysach samego Holbeina.

— Malarz **Lhota** wykończył karton przedstawiający Hieronima z Pragi na soborze kostnickim.

— Z najnowszych oper ściągają na siebie uwagę: **Lecocq**'a „Le testament de M. de Croce", — **Buonoma** „Un giorno a Neapoli, — i **Gomes**'a „Quarany." — **Henryk Litolff** pracuje nad nową wielką operą p. n. „Pasilea."

Przedpłaciciele

na książkę pamiątkową naszego wydawnictwa:

96.	Wny Ignacy Moszczeński z Wiatrowa	1	egz.
97.	Wny Zaremba z Gultów p. Neklą	1	„
98.	Wny Alojzy Praun ze Lwowa p. r.	1	„
99.	Wny Antoni Górski w Krakowie, ul. Grodzka Nr. 73	2	„
101.	Wny J. B. Lange w Gnieźnie	2	„
103.	Wny Juljan Breański w Zagórzanach	1	„
104.	Wny Dr. Koehler ze Strzelna	1	„

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.